

alności (porządna praca ze specjalistami w danych dziedzinach). Tu ktoś może się oburzyć, że może się to przerodzić w indoktrynację, ale myślę, że to bicie na alarm na wyrost, a wiele problemów polega na tym, że – biorąc pod uwagę uwarunkowania dzisiejszego świata – młodzi chłopcy, którzy jeszcze tak naprawdę nie mogli przekonać się, jak wygląda tzw. dorosłe życie, przechodzą z bańki ochronnej (szkoła) do innej, jeszcze bardziej szczelnej bańki ochronnej (seminarium), z której potem są wrzucani w wir świata. Wystarczy małe niedostrojenie i problemy gotowe. Nie chcę tu przytaczać historii i zdarzeń, o których wiem, a które niekiedy są skrzętnie ukrywane przed światem, aby przypadkiem nie wywołać kolejnego skandalu. Myślę, że ci, którzy spotkali się z podobnymi zdarzeniami lub o nich wiedzą, doskonale rozumieją, o co toczy się gra. Po trzecie, konieczne jest roztropne, mądre i odpowiedzialne kierownictwo duchowe (nie może być tak, że przez seminarium zostaje przepuszczony ktoś, kto nie radzi sobie z własną seksualnością). Po czwarte, doktryna, doktryna, doktryna i jeszcze raz doktryna – emocje, czyli wszelkiego rodzaju emocjonalne rekolekcje, czuwania i innego typu „bajery” należy dozować w minimalnych dawkach.

Nie chcę rozwijać tej – i tak już zbyt szczegółowej, wybiórczej listy, która wynika po części z osobistych obserwacji, po części zaś z rozmów przeprowadzanych z osobami zaangażowanymi w omawiane sprawy. Nie chciałbym też, aby te kilka słów wybrzmiało jako buńczuczne „ka-

zanie młodego świeckiego do sędziwych uczonych”. Myślę, że wszyscy doskonale zdają sobie sprawę, że nie chodzi o to, aby „kopać leżącego”, ale by wspólnie zastanowić się nad tym, jak się podnieść. Mam prawo do zabrania głosu, tym bardziej że nie mogę udawać, iż „wszystko jest dobrze”, bo np. „każdy i tak otrzyma zapłatę po śmierci” (bo i takie głosy można usłyszeć). To nie tylko uboga teologia, ale i demagogia nielicząca się ze sprawiedliwością.

Muszę dodać na koniec. Tak, czytałem *Oślicę Balaama* siostry Małgorzaty Borkowskiej i wszystkim ją polecam, zwłaszcza kapłanom, jeśli jeszcze nie mieli okazji poświęcić się tej lekturze – ten komentarz może, a właściwie powinien być potraktowany jako swoisty „apel do duchownych panów”, aby nie zaprzepaścili okazji do oczyszczenia, wszakże: „Tego, kogo Kocham, karcę i ćwiczę, bądź więc gorliwy i nawróć się”. Innej drogi nie ma. Dla Kościoła nie ma innej. Dla nikogo. ■

Bartłomiej Krzych

Poglądy niebezpieczne i wyjątkowo głupie

LGBT+ to przede wszystkim ludzie, wielu z nich zresztą obarczonych traumą stygmatyzacji i przemocy – pisał kilka dni temu Bartosz Bartosik na łamach „Więzi” w felietonie o wymownym tytule *Szerzenie nienawiści czarno na białym*¹. Pomijając

¹ Wiesz.com.pl, 7 sierpnia 2019.

całą resztę tego tekstu, pochylmy się nad przytoczonym fragmentem.

Charakterystycznym rysem naszej epoki, dobitnie zresztą świadczącym o jej schyłkowości, jest to, że stronnictwa polityczne, religijne czy – ogólnie rzecz biorąc – „światopoglądowe”, zwalczające się w ogniu debaty publicznej, w niczym nie licytują się tak ochoczo i namiętnie, jak w robieniu z siebie ofiary. Oczywiście już przed wiekami różne koterie, plemiona i sekty zносиły swoje skargi czy to pod niebiosą, czy to przed tron cesarski, a w ostateczności rozrywały szaty i lamentowały nad swoją niedolą na oczach tłumu, czasami tym poruszonego, a częściej nie. Współcześnie jednak stało się to praktyką nieledwie systematyczną. Z czego to wynika? Zapewne, powiedzieliby liberałowie, z traumy Auschwitz, z doświadczeń dwudziestego wieku, a także – to już byłby nasz komentarz – z faktu, że nikt nie chce być tym, który dyskryminuje, wyklucza i nienawidzi, podczas gdy przynajmniej niekiedy opłaca się być dyskryminowanym.

Tyczy się to wszystkich, bo i konserwatywna prawica, a nawet prawica narodowa, na pozór dziarska i „mundurująca dusze” (jeśli nie ciała), przyjmuje ustawicznie taką retorykę. Z nieskrywaną radością obnosi się z każdą swoją porażką, szukając glorii męczeństwa, choćby było ono (przynajmniej na razie) pluszowe lub tombakowe. W zbyt dużej dawce to tyle nieprzekonujące, co i niesmaczne: ale wejdźmy na te tory i spróbujmy przebić stawkę. Zresztą, prawda leży tam, gdzie

leży: być może ktoś tu rzeczywiście cierpi mniej lub bardziej.

Otóż po stronie LGBT+ są właściwie wszystkie liczące się ośrodki władzy medialnej, biznesowej i kulturowej: wielkie korporacje, giganci internetu, gwiazdy muzyki popularnej, gwiazdy filmu i telewizji. „Osoby nieheteronormatywne” sprawiają wrażenie bardzo pewnych siebie podczas wszelkich parad i pikiet: występują z odkrytymi twarzami, nieraz pod własnymi nazwiskami, nie muszą się martwić o jakiegokolwiek szykany, zwłaszcza jeśli pracują w „oszlonych wieżowcach Babilonu”. Płyną na fali ewidentnej, odważnej emancypacji.

Po drugiej stronie (w sposób zdecydowany, klarowny) są właściwie tylko przedstawiciele Polski odchodzącej, rzeczywistości minionej: mieszkańcy Białegostoku i podobnych, na poły prowincjonalnych miast (i to nie wszyscy), niektórzy księża i – na to wychodzi – jeden biskup. Do tego starsze panie z kółek różańcowych, chuligański lumpenproletariat, niektórzy „janusze z wąsami” i „grażyny z torbami”, przy czym ci ostatni budzą się zazwyczaj dopiero wtedy, gdy LGBT+ uderza w największe świętości, czyli w „naszego Papieża” oraz (*ex aequo* lub wręcz na drugim miejscu) Matkę Boską. Do tego dochodzi garstka narodowców i fantastów z kręgów Grzegorza Brauna: głośna, ale niepotrafiąca przekroczyć progu wyborczego.

Zaiste zabawna i smutna to „menażeria ludzka”. Ludzie niemający *en général* na nic wpływu, wciąż jeszcze dość liczni, ale niesterujący ani wyszukiwarkami internet-

towymi, ani polityką wielkich korporacji, ani organizacjami międzynarodowymi. Jakie znaczenie dla uśmiechniętych, wygranych uczestników Parady Równości ma to, że jakiś stereotypowy „Bogdan z Grójca” poci się z oburzenia i sapie coś pod nosem, oglądając wiadomości TVP na śnieżącym telewizorku w garażu?

W dodatku to ludzie, którzy nie potrafią przedstawić swojej argumentacji tak, aby była ona oparta o *framework* „świeckiej demokracji liberalnej”. Nic dziwnego, bo nie jest to możliwe: „świecka demokracja liberalna” rzeczywiście implikuje konieczność emancypowania kolejnych grup, które tego sobie życzą; tak musi być, skoro metanarracją nie jest już nawet jakieś rozwodnione chrześcijaństwo, a jedynie mieszanka postmodernistycznego sceptycyzmu z ateistycznym, scjentystycznym materializmem. W tej optyce nasze „dzieci zepsutej Polski” wychodzą na prostaków, bo odwołują się albo do kategorii, które w przestrzeni publicznej nie mają racji bytu (jak świadectwo Pisma Świętego, grzech czy zgorszenie), albo do prostych, naturalnych instynktów, które im podpowiadają, że coś tu nie gra. W jednym i drugim przypadku są przez wpływowe media przedstawiani jako sfrustrowany tłum, który panicznie boi się zmiany status quo i reaguje na poziomie zgoła zwierzęcym.

Środowiska LGBT przerzucają ciężar dowodu właśnie na tę stronę, czyli stronę konserwatywną. Oczywiście środowiska te żadnych argumentów słuchać nie chcą, chyba że osadzonych we wspomnia-

nym już *frameworku* liberalnym (ale nie da się sensownie argumentować przeciw „ideologii LGBT”, nie zmieniając wpierw aksjomatyki). Niemniej jednak udają, że o to im chodzi. Polega to na dość umiejętnym budowaniu wrażenia, że tak naprawdę to postawa „pro-LGBT” jest czymś najzupełniej naturalnym, oczywistym i niewymagającym wyjaśnień, a odmienne wrażenie bierze się tylko z tego, że przez kilka tysięcy lat dzięki, religijnej, feudalnej historii ulegaliśmy atawistycznym paranojom i psychozom. Kierował nami maniakałny „lęk przed Innym”, podsycany umiejętnie przez sfanatyzowanych lub cynicznych przywódców religijnych i politycznych. Dopiero teraz, w XXI wieku, część ludzi miała odwagę zauważyć, że żyjemy w kompletnym domu wariatów. Bardzo to wygodne, bo pozwala zepchnąć na margines kilka tysięcy lat religii (nie tylko chrześcijańskich, nie tylko abrahamicznych) i tradycyjnych modeli społecznych, po czym umieścić je w worku oznaczonym jako „kolektywne szaleństwo wczesnego etapu rozwoju ludzkości”. Worek ten ma oczywiście trafić na śmietnik historii.

Jeśli już ktoś tu jest stygmatyzowany, przegrany, zaszczuty i przedstawiany źle, to właśnie ta Polska konserwatywna. W dodatku jest i tak, że każda bardziej zdecydowana postawa spotyka się z alergiczną reakcją katolickiego czy prawicowego centrum, które czym prędzej odcina się rytualnie od „postaw skrajnych”, przeprasza w cudzym imieniu, a co najmniej sugeruje, że „padły słowa niepotrzebne”.

Trzeba albo tupetu, albo naprawdę wypaczonego postrzegania rzeczywistości, aby sugerować, że przedśmiertne drgawki Polski konserwatywno-katolickiej, bardziej smutne w swej desperacji niż straszne, to jakieś „rządy homofobii”, „ekspansja faszyzmu”, „widmo szwadronów śmierci” etc. Już choćby z litości czy naukowej ciekawości wypadałoby ocalić te resztki minionych czasów, przynajmniej w jakimś rezerwacie. Pod Białymstokiem, rzecz jasna. Ale najwidoczniej nikt tu nie ma sentymentów.

W dyskusji, jaka wywiązała się pod artykułem p. Bartosika, pojawiła się i taka opinia: „To wobec LGBT+ od lat stosowana jest przemoc systemowa”. Oczywiście i to nie jest prawdą. Zaczniemy od tego, że godne pożalowania są wszystkie te przypadki, w których „osoby nieheteronormatywne” (ale także katolicy, muzułmanie, Ślązacy, prawdziwi czy domniemani faszyści, komuniści i w ogóle ktokolwiek) są dyskryminowane „za karę” na takich płaszczyznach, na których ich „orientacja płciowa” nie ma żadnego znaczenia. Z drugiej strony zdaje się, że aktywności LGBT+, przynajmniej niektórzy, nie mają oporów przed domaganiem się, by tak właśnie traktowano ich przeciwników: dlatego coraz częściej słysząc apele o to, by hejterów nie dopuszczać do życia publicznego, uniwersyteckiego, zawodowego etc., ponieważ naruszają elementarny konsensus aksjologiczny.

Teraz jednak przedstawiciele LGBT+ mogą powiedzieć, że powyższy akapit niczego nie rozwiązuje, że to obłudna

łaskawość z naszej strony, ponieważ tak naprawdę chodzi o tę przemoc i dyskryminację, o której najwięcej mówi się na paradach: na przykład o niemożność „zawarcia związku małżeńskiego”.

A zatem dyskryminacja ta polega po prostu na tym, że „związki” osób LGBT nie są traktowane jak małżeństwa (cywilne, tym bardziej kościelne) ani w ogóle jako normalna forma związku. W sensie prawnym, kulturowym, religijnym. Ale dlaczegoż miałyby być? Wpierw należałoby dowieść, że powinny – ale przecież cała argumentacja tych środowisk opiera się na apelowaniu bądź to do emocji odbiorcy, bądź to do pojęcia jednostki, która ma prawo definiować i układać swoje życie tak, jak chce, sama lub wraz z innymi zainteresowanymi jednostkami.

Otóż w tradycyjnym (a nawet „posttradycyjnym”, bo chyba tylko o takim można dziś mówić) społeczeństwie nie pozwala się na emancypację prawną, ekonomiczną i kulturową „związków LGBT+” z tych samych powodów, dla których nie pozwala się np. dzieciom głosować, niewidomym kierować samochodami, ludziom bez żadnego kapitału zakładać spółkę z o.o., ludziom bez tytułu magistra domagać się tytułu doktora, ludziom młodszym niż 40 lat kandydować na urząd prezydenta etc. Problem polega na tym, że przedstawiciele tych grup nie spełniają – w tych obszarach, do których być może chcieliby aspirować – warunków, które z pewnych powodów, zwykle dość naturalnych, zostały uznane za konieczne warunki wstępne. Naturalnie możemy powiedzieć, że to *nie* jest dyskry-

minacja, ale oznaczałoby to tylko tyle, że *dyskryminację* definiujemy z założenia jako „zły” czy „niewłaściwy” rodzaj wykluczenia, w związku z czym nie ma mowy o „dyskryminacji dobrej”. Semantyczny spór, niewart rozważania w tym miejscu.

Tak czy inaczej, można wysunąć kontrargument: prowadzenie samochodu przez niewidomego stwarza zagrożenie dla innych, podobnie jak rządy dzieci albo masowe zakładanie biznesów przez finansową „gołotę”. Tymczasem na ślubach homoseksualnych (i innych formach emancypacji środowisk LGBT+) konserwatywna prawica nic nie traci: może przecież tych ślubów nie zawierać.

Po pierwsze, tak może mówić tylko ktoś, dla kogo aksjologicznym fundamentem jest jakaś mutacja oświeceniowego liberalizmu: taka, w której społeczeństwo nie jest niczym więcej niż tylko kolekcją jednostek. Nie ma żadnego wspólnego celu, społeczeństwo nie jest organizmem, nie ma stałych ról, a każdy i tak żyje w swojej bańce, w której dokonuje „samorealizacji” na własny rachunek. Tymczasem taka metanarracja nie jest wcale czymś oczywistym i nie można oczekiwać, że przyjmą ją jako swoją konserwatywni katolicy lub przedstawiciele innych tradycyjnych religii. Poza tym sfera publiczna zawsze pozostaje w mocy: prędzej czy później dojdzie (już dochodzi) do sporu o to, jak wydawać pieniądze z podatków, czego nauczać w państwowych szkołach i jakie treści mogą być wyświetlane publicznie, a jakie nie. Pół żartem, pół serio można powiedzieć, że nawet libertariański anar-

chokapitalizm nie byłby rozwiązaniem: bo w nim zawsze pokrzywdzeni czuliby się ci, dla których prywatna własność ziemi i środków produkcji to kradzież.

Zresztą, czyjeś samopoczucie niekoniecznie musi być wystarczającym uzasadnieniem dla legalizacji, a tym bardziej honorowania jego postaw i zachowań etc. Zróbmy mały eksperyment myślowy i wyobraźmy sobie, iż za lat kilka pojawia się ruch ludzi, którzy twierdzą, że ze swymi zużytymi przedmiotami czują głębszą więź niż np. ze zmarłymi. Ludzie ci domagają się wydzielenia na cmentarzach kwater dla swoich „zmarłych zegarków” etc., żądają, by uważać ich za „wdowy po krześle”, domagają się świadczeń społecznych takich jak wdowy po generałach i górnikach etc. Myślę, że nawet większość obecnych aktywistów LGBT uznałaby takie roszczenia za nedorzeczne... i tłumaczyłaby tym ludziom, że nie mogą stawiać takich żądań, „bo po prostu nie: bo nie ma analogii pomiędzy wdowieństwem a byciem byłym posiadaczem żyrandola; bo stare przedmioty nie są zmarłe w takim sensie jak zmarli ludzie; bo cała ta koncepcja jest bez sensu i niestety, ale nie możemy tak redefiniować podstawowych pojęć, by zadowolić kogoś, kto chce np. uroczyście pochować swego volkswagena, zwłaszcza na cmentarzu komunalnym”.

Z drugiej strony nikt o elementarnej przyzwoitości nie dyskryminowałby takich osób na innych polach: człowiek utrzymujący, że jest wdowcem po włoskim skuterze, mógłby normalnie pracować, poruszać się po ulicach etc. (oby). Otóż

dokładnie na tym opiera się konserwatywna opozycja wobec roszczeń grup LGBT: na tym, że tradycyjne społeczeństwo nie uznaje ich żądań na takich płaszczyznach jak definicja rodziny i małżeństwa, bo analogia pomiędzy małżeństwem a małżeństwem homoseksualnym jest tego mniej więcej rodzaju jak analogia między wdowcem po żonie a wdowcem po pasie słuckim. To tak, jakby ktoś chciał wnieść kapitał do spółki pod postacią banknotów z gry Monopol. Albo tak, jakby ktoś chciał legitymować się na granicy paszportem Polsatu. Tylko że to nie są prawdziwe pieniądze, prawdziwe paszporty ani prawdziwe małżeństwa. Innymi słowy, jest to grube nadużycie tradycyjnych pojęć, oparte tylko i wyłącznie na czymś subiektywnym poczuciu wykluczenia. Które wszelako nie musi być miarą niczego. I to nawet wtedy, gdy ten ktoś je przeżywa autentycznie.

W pewnym sensie lewica liberalna ma rację, że nie istnieje nic takiego jak specyficzna „ideologia LGBT+”. Rzeczywiście: to tylko jedno z wielu odgałęzień znacznie szerszej ideologii. „Społeczność LGBT+” jest po prostu na tyle mała, na tyle zarazem duża, na tyle odważna, na tyle typowa i na tyle nietypowa, żeby akurat być najbardziej skutecznym taranem, przynajmniej obecnie. Kiedyś tym taranem mogły być „kobiety” albo „klasa robotnicza”. Albo „dzieci”, rzekomo przez wieki wychowywane w stresie i upodleniu, a teraz oczekujące partnerstwa i szacunku.

Innymi słowy, jest to de facto ogólna ideologia (oświeceniowa czy też posto-

świeceniowa, na pewno liberalna, nazwy są tu zresztą drugorzędne), mianowicie ideologia emancypacji człowieka od wszelkich tradycyjnych ról, tożsamości i przypisań, zwłaszcza tych, które dotąd były determinowane biologicznie czy społecznie, a najgorzej, jeśli religijnie. W tym sensie przedstawiony wyżej pomysł ze społecznością „item-widowerów”, którzy domagaliby się uznania ich tęsknoty za utraconymi przedmiotami za równoważną z tęsknotą za zmarłymi – nie jest może wcale tak kuriozalny, jak mógłby się wydawać. Dlaczego nie? Jeśli uznajemy, że na forum publicznym jedynym zasadnym kryterium jest ułożenie spraw tak, by możliwie dużo ludzi było subiektywnie szczęśliwych, jeżeli to „subiektywne szczęście” pojmujemy jako pogodzenie się ze swoimi popędami, potrzebami, wrażeniami, uczuciami etc. (a nie jako zaparcie się siebie, jak to czynić powinni chrześcijanie), jeżeli wreszcie „stać nas” na takie fanaberie, bo mamy bogate społeczeństwa, czekamy na dochód gwarantowany i rozwijamy ekologiczne źródła energii – to czemuż mielibyśmy nie dać każdemu tego, czego chce? Z pewnością zaraz znaleźliby się usłużni naukowcy, dowodzący, że „item-widowing” nie jest niczym niezwykłym w świecie zwierząt, bo psy tęsknią za ulubionymi zabawkami; inni z kolei upieraliby się, że „item-widowing” nie jest historycznie niczym niezwykłym, bo już w starożytnej Paflagonii... i tylko złośliwe religie monoteistyczne nam to zabrały etc.

Otóż cokolwiek by nie sądzić o tej wizji, to z pewnością nie jest ona czymś oczy-

wistym i naturalnym dla większości narodów (czego wymownym dowodem jest fakt, że poza oświeceniowym Zachodem nikt uprzednio takiej koncepcji nie wypracował). Trudno więc się dziwić, że napotyka ona na opór; a już ordynarnie obłudne jest twierdzenie, że tę wizję da się pogodzić z wizją w jakimkolwiek sensie tradycyjną: w której istnieją normy moralne uważane za obiektywne (u nas: chrześcijańskie, ale normy innych religii są w dużej mierze podobne), w której role społeczne tylko częściowo się wybiera, a w jakiejś mierze należy się na nie godzić i je realizować, w której człowiek raczej ma odkryć, kim być powinien, niżli określać dowolnie, kim chce być, w której społeczeństwo jest pewnym bytem bardziej spójnym niż tylko kolekcja jednostek etc.

Czytelnik może teraz powiedzieć, że z tego przedstawienia wyłania się wizja zaiste upiorna: taka, w której tak naprawdę nie ma miejsca na kompromis pomiędzy tymi dwoma światami, dwoma sposobami myślenia. Rzeczywiście, trudno o inny wniosek. Oczywiście jest możliwy kompromis czysto techniczny: będący po prostu wynikiem zmierzenia sił, wyliczenia tego, co się komu bardziej opłaca, i uznania, że jedni niechętnie ustąpią na tym polu, a drudzy równie niechętnie na innym. Na tym zresztą polega tolerancja w klasycznym jej rozumieniu: nie tyle na wzajemnym szacunku do prezentowanych przekonań, ile raczej na przekonaniu, że jakiś rodzaj koegzystencji tymczasowo opłaci się obu stronom bardziej niż rzućnie się wzajem do gardeł. To bardzo smut-

ne, bo kompromis taki musi być chwiejny: ale może lepiej, by obie strony to zrozumiały wcześniej niż wtedy, gdy będzie za późno.

Z drugiej strony jest i pewna rzecz, którą w szczególności pojąć musi konserwatywna prawica, a tym bardziej centroprawica. Wyjaśniliśmy już, że z perspektywy działaczy LGBT+ wszelka „homofobia” (rozumiana np. jako to, co na temat homoseksualizmu głosił przez wieki Kościół, a co było tylko pochodną jego ogólnych poglądów na człowieka i sens życia) jest czymś absolutnie irracjonalnym, nieuzasadnionym. W konsekwencji odmowa prawnej emancypacji i zrównania „związków LGBT+” staje się czymś równie niedorzecznym jak hipotetyczna odmowa uznania małżeństw pomiędzy rudowłosymi czy mieszanych małżeństw kaszubsko-śląskich. Dla tradycyjnego katolika ten wniosek jawi się jako błędny, bo ów katolik bazuje na innej aksjomatyce; ale jeśli centrysta czy katolicki modernista chce dzielić ze swoimi nieheteronormatywnymi adversarzami wspólną płaszczyznę świeckiego państwa czy paradygmatu liberalnego, to musi pamiętać, że w tej logice postulaty nawet bardzo radykalnych środowisk LGBT+ są wewnątrznie spójne. Kompromisowe propozycje w rodzaju „śluby tak, adopcja nie”, „formalizacja związków tak, ale nie pod nazwą ślubów”, „wspólnota majątkowa tak, o reszcie pomyślimy kiedyś”, „w szkołach uczmy trochę tego, a trochę tego”, „w szkołach uczmy tego, czego chce większość rodziców” – jawić się muszą „społeczności

LGBT+” jako ochłap litości z mieszczańskiego stołu. Trudno się im dziwić, ale dla niektórych szacownych autorów powinno być to ostrzeżenie. ■

Adam Witczak

***Visibilia et invisibilia*, czyli o pewnym rozróżnieniu**

Jakkolwiek posoborowa reforma liturgiczna doczekała się już wielopoziomowej krytyki, wciąż nie jest to praca ukończona. Myślę, że jedną z kwestii, które ciągle czekają na wydobywanie i analizę, jest pewien aspekt jej intelektualnego zaplecza, który można by określić jako pozorne oczywistości przyjmujące postać aksjomatów. Co pewien czas w tekstach jej koryfeuszy przebliskują te fałszywe monety, ukazując na moment, jak dziurawe są fundamenty, na których – było nie było – wzniesiono cały gmach nowego kultu Kościoła. Nieocenionym dawcą takich wglądów jest nikt inny jak tylko sam abp Bugnini, człowiek grający pierwsze skrzypce w procesie reformatorskim. Wbrew bowiem nieco demonicznie-spiskowej opinii o nim w środowiskach tradycyjalistycznych, nie zachowuje się on w swoich pismach jak ktoś, komu zależy na ukryciu swoich prawdziwych idei i motywacji. Przeciwnie, dość prostodusznie dzieli się nimi z czytelnikami. One same wydają się być nieco naiwne, żeby nie powiedzieć frapująco bezmyślne. To, co jednak najbardziej zdumiewa, to fakt, że

najwyraźniej nie tylko on w ten sposób myślał. A co gorsza, ci, którzy tak myśleli, zajmowali się samym sercem życia Kościoła.

W moim prywatnym rankingu owych wspomnianych pozornych oczywistości pierwsze miejsce zajmuje dokonana przez Bugniego interpretacja jednego z kluczowych fragmentów konstytucji *Sacrosanctum Concilium*. Chodzi o punkt 21. Co prawda on sam nadaje się na analizę pod kątem pozornej oczywistości zawartych w nim stwierdzeń, ale Bugnini doprowadza obecne w nim problematyczne rozróżnienie do kompletnego absurdu. Skrytego – oczywiście – za pozorami oczywistości. Porównajmy oba teksty:

SC 21: „Aby lud chrześcijański pewniej czerpał ze świętej liturgii obfitsze łaski, święta Matka Kościół pragnie dokonać ogólnego odnowienia liturgii. Liturgia bowiem składa się z części niezmiennej, pochodzącej z ustanowienia Bożego, i z części podlegającej zmianom, które z biegiem lat mogą lub nawet powinny być zmienione, jeżeli wkradły się do nich elementy, które niezupełnie dobrze odpowiadają wewnętrznej naturze samej liturgii, albo jeżeli te części stały się mniej odpowiednie”.

Arcybiskup Bugnini: „Liturgia posiada dwa wymiary: jeden niewidzialny, niezmienny i wiecznotrwały; drugi ludzki, widzialny